

Andrzej Łepkowski

Godzina kórnicka

Aufobus wyrwał się z przedmieść na szosę. Pochmurny dzień wstaje nad polami, jeszcze srebrnymi od nocnego deszczu. Mijamy wzorowo czyste poznańskie wsie, nurkujemy w tunelach lip. Po 45 minutach otwiera się widok na jezioro wtopione między fałdy dojrzwających zbóż. Z odległych równin spływa ku szosie i nagle znika zasłonięte pierwszymi domami miasteczka. Wjeżdżamy na rynek, długi, rozszerzający się na kształt rogu obfitości, z którego wypływają się czcigodne budynki — kolegiata, ratusz, wreszcie zamek w bukietach sędziwych drzew. Oto śródmieście Kórnicka.

Pora jest jeszcze bardzo wczesna. Dopiero sprzątaczkę wyszły na most (dawniej zwodzony) i zamiatają betonowe płyty ciemne od wilgoci. Niebo nad parkiem wygląda nieładnie. Dzisiaj kałuże nie obeszczą. Przez uchylone drzwi widzę na blyszczącej posadzce stertę muzealnych pantofli, ale zanim wybiorę jedną parę, by przemierzać lśniąca arabski, wróć do ogrodu. Stąd zamek wygląda malowniczo, choć wcale nie jest ładny. Starzejący się, zdziwaczały romantyzm podsunał Tytusowi Działyńskiemu jakieś szkocko-maurytańskie wzory. Taki murewany „groch z kapustą” niejedną już raz warzył się w kuchni naszych architektów. Ale teraz XIX-wieczne przeróbki zamku przekroczywszy już setną rocznicę swoich urodzin, awansowały do rangi zabytku, który należy szanować tym więcej, że osłania rdzeń gotyckich i renesansowych murów. Niedawno zamkowi groziło niebezpieczeństwo. Po wojnie zaobserwowano w ścianach niepokojące szczeliny. Widocznie przemarsz oddziałów pancernych i rozminowywanie terenu spowodowały ruchy podłoża. Bagnista wysepka, na której stoi budowla, przeszła już centową kurację. Wzmocniona zastrzykami z betonu przestała się obrywać. W murach zakładano stałe kontrolne pomyby, które teraz nie wykazują już żadnych przesunięć. W najbliższym czasie zamek czeka gruntowny remont.

Barok jest starannie utrzymywany. Chodząc po wygracowanych ścieżkach szukając tematu do fotografii.



W miarę jak się zagłębiał między drzewa otwierają się nowe perspektywy na zamek. Strzyżone bukszpany, tuje i ozdobne krzewy dodają mu obcego charakteru. Przez drogi co chwile przebiegają dzikie króliki. Dawniej podobno było tysiące bażantów. Kórnik stał się z świętych połowan. Ale bażanty nie przetrwały wojny, zaledwie małe stadko kręci się teraz po parku.

Nadlatuje fala ulewy. Szybko ostaniam aparat i biegnę do zamku.

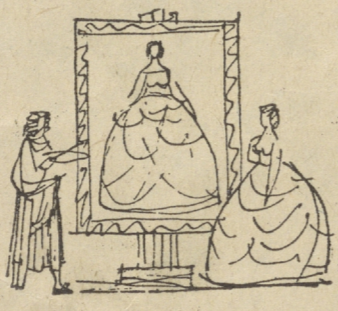
Spotykam go na schodach. Jest niski, w ciemnym ubraniu, wygląda na sześćdziesiątkę. W klapie dyskretnej wstążki orderu. Przedstawiam się wiedzając na pewno, że to właśnie on.

Pan Małecki, bibliotekarz Fundacji Kórnickiej, jest tutaj żywą kroniką. Pracuje w zamku od 58 lat. Kiedy słyszę tę imponującą cyfrę wypowiedzianą na marginesie rozmowy, robię bardzo zdziwioną minę. Bibliotekarz uśmiecha się i powtarza ją jeszcze raz. Tym razem nie ma już mowy o nieporozumieniu. Miał 19 lat, kiedy tu przyszedł. Było to niedługo po śmierci bezdzietnego Jana Działyńskiego, który zapisał swoje zbiory siostrzeńcowi, Władysławowi Zamoyskiemu. Były to czasy tuż po Bismarcku. Jeszcze świeżo tkwiły w pamięci represje: uwięzienie i wygnanie generałowej Zamoyskiej. Potem przyszła wojna. Rozprawa z Niemcami Wilhelma II. Wrócił fundatorzy. 90-letnia generałowa z synem Władysławem, starzejącym się kawalerem i córką Marią — ostatnimi po kądzieli z rodu Działyńskich. Kórnik przestaje być wielkopańską siedzibą, jest magazynem wielkich zbiorów, które z woli Jana Działyńskiego mają być przekazane w godzinie odzyskania wolności — narcodowi. Staruszka strzeże testa-

mentu brata. Przed śmiercią przypomina Władysławowi o obowiązku wobec społeczeństwa. Stojąc na progu wieczności przepowiada synowi rychły zgon. Władysław pośpiesznie dokonuje ostatnich formalności; umiera w niespełna rok po matce (1924). W zamku-muzeum zostaje samotna rezydentka Maria Zamoyska zajmując się z amatorską malarsztwem, bibliotekarz Małecki, i... „biała dama”, schodząca z portretu.

Mówiąc o „białej damie” pan Małecki uśmiecha się i poleca mi bliźszego w tych sprawach stróża nocnego, również weterana Fundacji.

Zamek kórnicki zbudowany w XV wieku, był obronny, otoczony fosą, na którą spadały mosty zwodzone. Pierwotne grodzisko znajdowało się podobno z drugiej strony jeziora, ale do dziś nie zostało po-



nim ani śladu. Miasteczko skupiło się wokół nowego zamku będącego równocześnie bramą do grodu. Wjazd rdeń przez środek gmachu. Ślady tej architektury dochowały się mimo późniejszych przeróbek, w postaci sklepionych wnęk z północnej i południowej strony. Do końca XVI w. zamek był w posiadaniu Górków, później przechodził kolejno na własność rodów: Czarnkowskich, Działyńskich, Szoldrskich, Potulickich i znów Działyńskich. Przebudowany w XVI w. w stylu renesansowym, w dwa wieki później odrestaurowany został na modę francuską przez ową białą damę z portretu, Teofilę z Działyńskich Szoldrską-Potulicką. Dziedziczka lubowała się w koronkach, dlatego znaną malarkę francuską Antonie Pesne uwiecznił ją całą w burzy białych muślinów. Dlatego po śmierci nazywano ją „białą damą”, a szelest tych koronek w pochmurne noce niepokoił ponoć mieszkańców zamku.

Pan Małecki mówi przyciszonym głosem i gładzi lśniąca płytę biurka generałowej Zamoyskiej.

— Tamto legenda; a to miniona rzeczywistość. Przy tym biurku panią aresztowali. Pamiętam staruszkę, jak wróciła po 36 latach wygnania. O, tu łóżko, na którym zmarła. Jak ich Bismarck wypędził, kupił na licytacji Zakopane. Procesowali się o granicę z księciem Hohenzolernem, trwało to dwadzieścia lat, ale wygrali

sprawę. I odtąd granica ze środka Morskiego Oka przesunięta została na szczyty, do dziś jako granica państwa. A tu szpindel, na którym grywał Chopin, gdy był w Dreźnie u Klaudyny z Działyńskich Potockiej...

Bibliotekarz przerywa swoje opowiadanie i podchodzi do wysmukłego instrumentu, na którym otwarte leżą wyblakłe nuty.

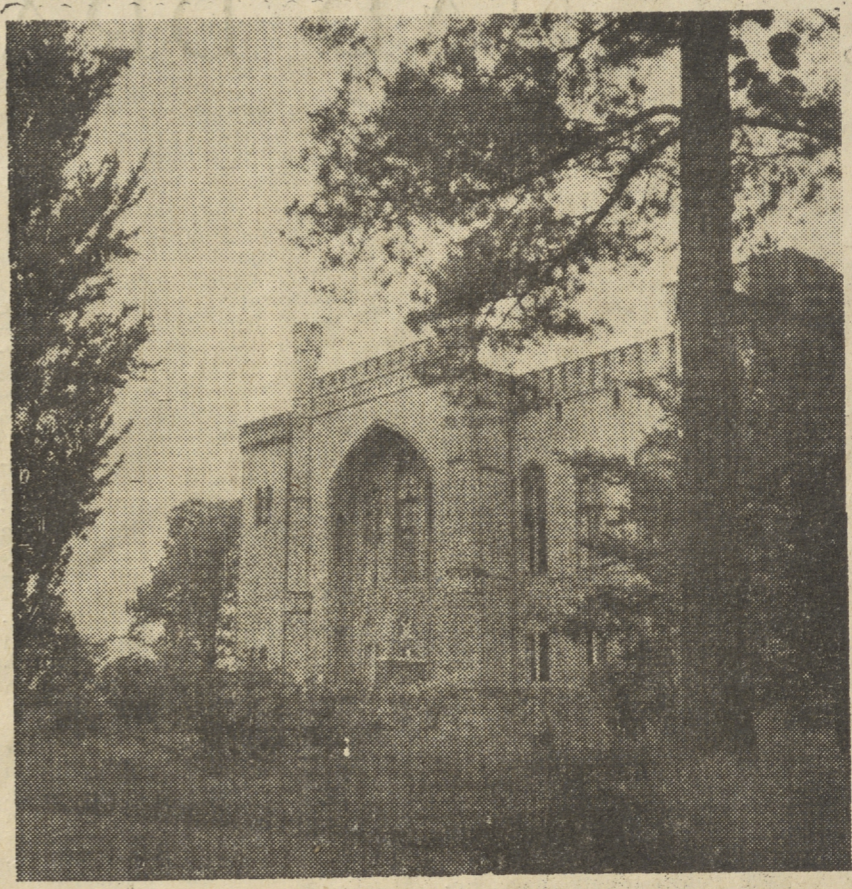
Idziemy po lśniących posadzkach przez wielkie pokoje. Na ścianach wspaniałe obrazy — Tycjan, Rubens, klejnoty polskiego malarstwa cechowego — karty księgi rodowej Szydowieckich iluminowane przez Stanisława Samostrzelnika z Mogiły, dalej Bacciarelli, Norblin... A wszędzie przepych kolorowego drewna; farniry, intarsje, boazerie. Większość z nich jest dziełem rąk rzemieślników kórnickich, których kształcił Tytus Działyński, sam znawca, projektodawca, snyczer-amator. Najzdolniejszy spośród rzeźbiarzy był syn tutejszego burmistrza Józef Pepliński, któremu groził surowy wyrok za karykaturę „starego Fryca” z butelką i kieliszkami, nasmarowaną kredą w szkole na tablicy. Chłopiec wysłany tajemnie do Florencji, przywiózł po kilku latach nieprzeciętne umiejętności. Potrafił rzeźbić z jednego kawałka drzewa całe girlandy i wieńce, umiał odtwarzać podobizny ludzi, zwierząt i roślin, inkrustować, w wyszukany sposób dobierając seki i stoję.

Jesteśmy w dawnej sieni — pozostałości po drodze wjazdowej drażącej zamek na wyłot. Tu zachował się wielokrażek zwodzonego mostu. Teraz, pomieszczenie zamienione jest na wozownię-muzeum. Za czerwonym sznurem stoją trzy ciężkie karocce podróżne, z kozłami jak bocianie gniazda, wnętrzem wybitym skórą, wyposażone w rozkładane łóżka,



szafki na pościel, stoliki do jedzenia. Tymi landarami jeździł Działyński na Południe, w ich przepaścistych bagażnikach przywoził skarby sztuki włoskiej i francuskiej.

Przez uchylone okno, z fasy zarosniętej sitowiem dochodzi głośnie skrzeczenie zab. W sali, do której właśnie wchodzimy, wisł wspaniały portret pani całej w obłoku koro-



nek. To „biała dama”. Ciemne oczy patrzą urzekająco. Podobno wszystkie stare portrety wodza wzrokami za przechodzącym. Staram sobie wytłumaczyć zrudzenia, ale wiem, że gdybym się tu znalazł sam, tuż przed północą, czubym się nieswojo.

Ostatnia sala na parterze mieści pamiątki po fundatorach i najcenniejsze rękopisy. Na ścianach portrety, w gablotkach inkunabuly. Dokument Kazimierza Wielkiego nadający prawa klasztorowi w Leknie. Autograf Napoleona, listy Curie-Skłodowskiej. Pergamin, żółte papiery, — dotyk historii.

Idziemy na pierwsze piętro.

— Tak, jak za Bismarcka największej ucierpiała biblioteka — mówi pan Małecki — tak w tej wojnie zbrojownia i meble. Wywieźli nie wiedzieć dokąd, albo zniszczyli. O, taką samą szafę bretońską z XVII wieku jak ta — pokazuje wspaniały sprzącacz opalił gaudetior Grefser.

Idzie ze spuszczoną głową i bezszelestnie otwiera drzwi do jasnej, prawie dwupiętrowej sali. Ukazują się jakieś dziwne, wschodnie kolumniki, na ścianach makaty, włócznie...

— W tej sali są zbiory Władysława Zamoyskiego, które zgromadził w Australii, będąc w roku 1879 na wystawie w Sydney. Sala przez swoją wschodnią architekturę nazywa się „Maurytańska”.

Zwiedzanie zamku wkracza w egzotyczny finał. Bibliotekarz roztacza

przedemną wizję kraju Papuasów, ich sztuki, zwyczajów, ponurych obrządków. Pokazuje piękne maty farbowane ludzką krwią, zatrute groty do strzał, amulety. Za szkłem czają się dziwne australijskie zwierzęta.

— Jeszcze kilka słów o księgozbiore — przypomina sobie pan Małecki. — Posiada przeszło sto tysięcy tomów, zajmuje wszystkie pomieszczenia na drugim piętrze. Dostępny jest tylko za specjalnym zezwoleniem Polskiej Akademii Nauk, której podlegają zbiory Fundacji.

Schodzimy na dół, przed drzwiami czeka duża wycieczka. Zdejmuję szare, wysłużone pantofle. Za chwilę ich stos zmniejszy się o sto par.

— Tak jest przez całe lato — uśmiecha się mój przewodnik. — Dwieście, czasem pięćset osób...



Odprowadza mnie aż na most, mimo że pada drobny, przemiłny deszcz. Zabę w fosach zegocą bez przerwy.

ANDRZEJ ŁEPKOWSKI

KSIAŻKI KLUBIE

GRAND PRIX w tegorocznym konkursie im. Marguerity Long nie przyznano w ogóle. Jury pod przewodnictwem Georges Aurica, z udziałem pań Tagliaferro, Boulanger, de la Bruichellerie i Fischer oraz pp. Boukoffa, Gileisa, Brailowskiego, Challana i Rolanda przyznało drugą nagrodę ex aequo pianistom: Dymitrowi Baszkiroutowi (ZSRR) i Ringelissenowi (Francja). Dalsze nagrody uzyskali: trzecią — Gabor Gabos (Węgry), czwartą — Gleb Azelrod (ZSRR), piątą — Klaus Schilde (Niemcy), szóstą — Peter Frankl (Węgry), siódmą — Tomasz Vasary (Węgry), ósmą — Claude Coppens (Belgia).

W DRAMATURGII CLAUDELA specjalizują się przede wszystkim dwa teatry francuskie. Comedie Francaise ma w swym repertuarze „Młoda dziewczyna imieniem Violaine”, „Zakładnika” i „Atlasowy trzewiczek”; teatr Barraulta — „Wymiana”, „Krzysztofa Kolumba” i „Południe życia”. Poza trudną do obsadzenia „Złota głowa” z wielkich sztuk pozostaje jeszcze tylko „Miasto”, sztuka z r. 1890, z wersją ogłoszoną w r. 1901 w „Mercurie de France”. Te właśnie wersję pt. „Drzewo”, dzieło młodego konwertyty, wystawił Jean Vilar z zespołem TNP na festiwalu w Strassburgu. Rzecz jest bez konstrukcji i bardzo statyczna, lecz tekst pełen wspaniałej poezji. Tytułowe miasto jest apokaliptycznym two-

rem, wstrząsanym społecznymi konwulsjami epoki, a młody Claud miał tu wyrazić cały swój bunt przeciwko upodleniu człowieka. W trzecim akcie tego pełnego symboliki dramatycznego poematu konflikt między ścigającymi się siłami społecznymi rozwiązany zostaje przez pojawienie się orszaku duchowieństwa w zniszczonym mieście; na czele orszaku idzie biskup-poeta. W przymierzu między Bogiem, Kościołem a państwem powstanie na nowo pełne światła miasto z szczęśliwym ludem. Znakomitą, pełną prostoty i umiaru inscenizację przygotował Jean Vilar ze swymi znanymi współpracownikami: M. Jarre (muzyka) i L. Gischia (scenografia). W głównych rolach wybijali się Maria Cesares, Alain Cuny, Jean Vilar i G. Wilson.

PARYSKI KRYTYK FILMOWY Genevieve Agel napisała ostatnio ciekawą książkę na marginesie znanego filmu Jacques Tati „Wakacje pana Hulot”. Autorka wyraziła w niej pogląd, że postać bohatera filmu uosabia pewne wartości, w dzisiejszym świecie zapomniane, a szczególnie cenne. Agel nie wyklucza możliwości że Hulot stanie się równie popularny jak Charlot Chaplina. Książka nosi tytuł: „Hulot wśród nów”, ukazała się w wydawnictwie Cerf.

FRANCUSKA EKSPEDYCJA ARCHEOLOGICZNA, która roz-

poczęła badania nad brzegiem Eufratu, na wzgórzu Te-Hariri (terytorium Syrii) nie wyświeciła jeszcze w zupełności tajemnicy miasta Mari. Sprawozdanie z wyprawy złożone w Luvrze przez konserwatora starożytności André Parrot, który uczestniczył w poszukiwaniach, przedstawia liczne dokumenty: odnalezione liczne narzędzia, pieczęcie, niezliczone tabliczki, których treść wskazuje na wielkie znaczenie tego miasta. Zniszczenie jego jednak pozostaje nadal niewyjaśnione. Archiwum wielkiej biblioteki, którą posiadała Mari, zawiera ok. 25 tys. tekstów.

DO WYBITNYCH KONWERTYTÓW współczesnych warto dołączyć jeszcze jedną postać — sławnego niemieckiego psychiatrę pochodzenia żydowskiego — doktora Karola Sterna. Przywiązany głęboko do tradycji, historii i losów swego narodu długi okres poświęcił Stern pracy nad genezą nazistowskiego państwa i nad specyficznym duchem izolacji, jaki od wieków cechował naród żydowski. Twórczość tego wybitnego naukowca cechują: braterska solidarność i miłość bliźniego, pojęta w duchu religii Chrystusowej. Dla Sterna uznanie Mesjasza jest koniecznym następstwem tej wiary, którą upoili mu fakty objawione w Starym Testamencie. Swoją drogę od judaizmu do katolicyzmu ukazał Stern w autobiograficznym dziele pt. „Pillar of Fire”

(„Kolumna wiary”). Autor książki uszedł ze swej ojczyzny w tragicznym okresie przesiedleń i mieszka dziś w Kanadzie, gdzie jest profesorem jednego z uniwersytetów. Obok naukowej prowadzi działalność literacką i publicystyczną. Jedną z jego ostatnich prac jest książka: „Święci, których kochamy”. M. in. pisze tu Stern o przypadku św. Teresy z Lisieux i w związku z nim przeprowadza głęboką, fachową krytykę interpretowania zagadnienia świętości z pozycji freudyzmu czy też mądrej obecnie psychoanalizy.

NOWE WYDANIE „WOJNY I POKOJU”, w nowym przekładzie Wernera Bergengruena, ukazało się nakładem wydawnictwa Ruetten-Loening w Berlinie (NRD). Jest to pierwszy od dość dawna przekład niemiecki słynnej powieści Tolstoja, wydawany bowiem postanowili przywrócić czytelnikom pełny tekst powieści, niejednokrotnie skracanej przez niemieckich tłumaczy i wydawców.

SŁOWENIA obchodzi 150-lecie urodzin i 100-lecie śmierci największego swego poety Franciszka Preserna (1800—1849), poety współczesnego Mickiewiczowi i Kollarowi. Presern był twórcą przepięknych sonetów, ale sławę swą zawdzięcza utworowi epickiemu pt. „Chata przy Savicy”, poświęconemu przyjacielowi Capowi.